

Y 9012 C
Nr indeksu 368563
PL ISSN 0475-6347
USA - 1.85 \$
United Kingdom - 1 £
Germany - 4 DM
France - 10 F
Canada - 2.10 \$ CAN
Belgium - 62 BF
Austria - 21 Sch.

Wskazywanie na 10 maja 1984

Pano ramo

NR 3-4 (2359-2360) 16 I - 23 I 2000
CENA 1,50 Zł



Magia buszu (1)

Natura i żywioły sprawiły, że kontynent australijski jest niepowtarzalny. Przejrzystość powietrza i jego skład nadają krajobrazowi koloryt, który tylko miejscowi impresjoniści potrafili oddać na obrazach, a które umykają już fotografii. Ziemię o różnych odcieniach czerwieni można wprawdzie spotkać w innych zakątkach globu, ale tylko tu rosną eukaliptusowe lasy i busz, gdzie mogą żyć przesympatyczne wombaty, kangury i senne misie koala. Gruntowne zmiany krajobrazu rozpoczęły się wraz z przybyciem Europejczyków. Wzdłuż wybrzeża, szczególnie wschodniego, rozciągają się rozległe tereny uprawne i farmy. Piękne, lecz niewiele różniące się od tych na innych kontynentach - winiarnie przypominają te w Południowej Afryce, pastwiska są jak przeniesione ze Szkocji, pola uprawne jak z Kalifornii. I dlatego trzeba odjechać tysiące kilometrów od wybrzeża, w głąb kontynentu, aby móc podziwiać oryginalny krajobraz.

Urok przestrzeni

Australijczycy o swoim outback'u wyrażają się dość powściągliwie - na horyzoncie busz, za horyzontem busz, jedzie się i jedzie i nic się nie dzieje. Nam jednak ten nudny busz wydał się fascynujący. Bo ileż jest jeszcze miejsc na świecie, gdzie można jechać godzinami i nie mieć okazji spotkać drugiego człowieka?

Nieprawdą jest również, że jest to krajobraz monotony. Zmienia się nieustannie - można jechać wzdłuż eukaliptusowego lasu, za chwilę podziwiać pofalowane tereny półpustynne, a od czasu do czasu pojawiają się w oddali zdegradowane skały i góry. Zasnąć za kierownicą nie pozwalają również

kangury i to na dwa sposoby - raz, bo pozwalają się oglądać w swoim naturalnym środowisku, a takiemu podglądaniu trudno jest się oprzeć. Innym razem, bo wskakują bezrozumnie na drogę, wprost pod koła samochodu. Znak „uwaga na kangury przez następne ... km” jest chyba najczęściej spotykanym znakiem drogowym w Australii. Nam szczęśliwie udało się uniknąć takiego spotkania. Nieprzyjemną chwilę przeżyliśmy, gdy orzeł żerujący na zabitym kangurze zbyt późno poderwał się do lotu (a może to my zbyt szybko jechaliśmy?...) i otarł się potężnymi skrzydłami o przednią szybę. Odleciał nieuszkodzony, ku naszemu zadowoleniu, zwłaszcza, że szyba też ocalała. Nie-

stety, te szlachetne drapieżniki zmieniają się w padlinożerców, może dlatego, że sępy tu nie występują.

Nie można również mówić o monotonii, gdy ten sam krajobraz zmienia swoje barwy w zależności od pory dnia. Czerwona ziemia jest o wschodzie słońca różowoszara, kolory roślinności są również przygaszone. Im bliżej zachodu, tym bardziej elementy krajobrazu stają się wyraźniejsze, skontrastowane, a ziemia nabiera ceglastej barwy. I niby busz jest ten sam, a jednak całkiem inny.

Grę światła ze szczególnym zachwytem oglądaliśmy w australijskim outbacku nad słonymi jeziorami, teraz wyschniętymi. Największe - Eyre - wypełniło się wodą tylko trzy razy od czasu przybycia, 130 lat temu, w te okolice Europejczyków. Na nim Donald Campbell pobił rekord szybkości jazdy na ziemi w latach 60. I tylko chyba na takim terenie to było możliwe. Wysuszona tafla soli jest niesamowicie gładka, obszar wystarczająco duży, aby się dobrze rozpędzić, a jadąc w nic nie uderzyć. Myśmy nie pędzili, ale z zaskoczeniem obserwowaliśmy jak nasze cienie wydłużały się w promieniach zachodzącego słońca do karykaturalnych rozmiarów, patrząc jednocześnie na wschodzący księżyc w pełni na czystym niebie. A do tego cisza... dobro natury, które staje się coraz bardziej rzadkie.

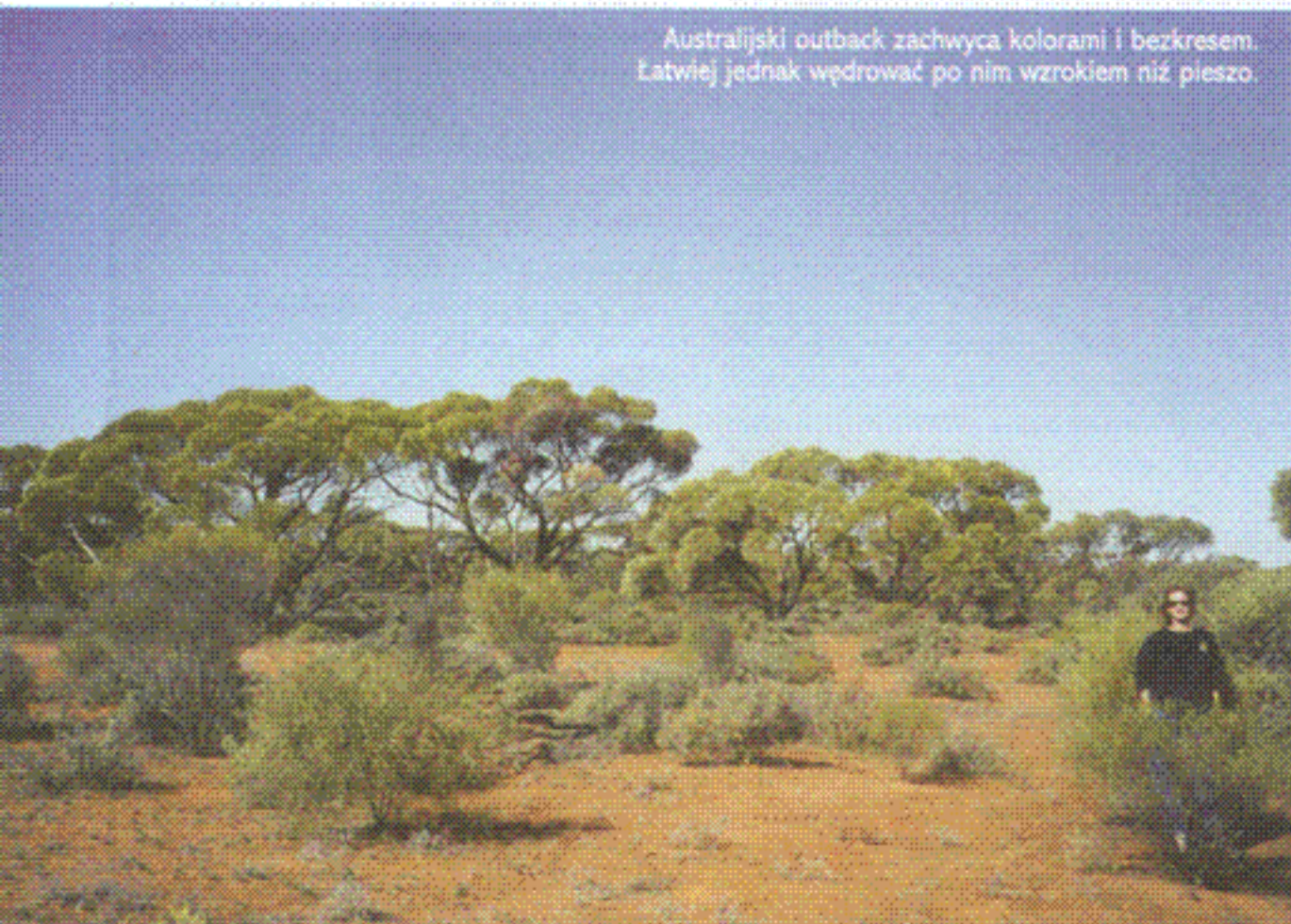
Magiczne miejsce

Sporo już podróżowaliśmy po świecie i dlatego lubimy porównywać to, co widzimy z tym, co już widzieliśmy. Czy na pewno australijski busz jest inny? Pewne elementy krajobrazu przypominały nam pustynię w Namibii, choć tam jest zdecydowanie więcej gór. Niekiedy czuliśmy się, jakbyśmy jechali przez bardziej odludne tereny w Arizonie w Stanach Zjednoczonych, przez pampasy w Argentynie, czy też przez pustynne ogrody w Baja California w Meksyku. Ile jednak podobieństw byśmy nie dostrzegli, żadna z dróg nie doprowadzała nas do Uluru (w języku aborygeńskim), albo inaczej Ayers Rock - olbrzymiej skały, która znajduje się prawie w samym środku kontynentu.

Można do niej również dolecieć samolotem, co znakomicie skraca czas podróży, ale jest coś niesamowitego w tym, gdy po pokonaniu ponad trzech tysięcy kilometrów z Sydney, czterech dniach jazdy przez busz, dociera się wreszcie do miejsca, gdzie teren jest płaski, pusty, a na horyzoncie wznosi się olbrzymi głaz. Tak naprawdę jest to część skały, której tylko jedna trzecia wystaje nad powierzchnię ziemi. Wrażenie pozostaje na długo i nie dziwi fakt, że dla Aborygenów żyjących w okolicy skała ta jest miejscem świętym.

Uluru znajduje się na terenie parku narodowego - Uluru-Kata Tjuta National

Australijski outback zachwyca kolorami i bezkresem. Łatwiej jednak wędrować po nim wzrokiem niż pieszo.



Wbrew temu co mówią Australijczycy, busz nie jest nudny. Krajobraz zmienia się, a atrakcją są nie tylko kangury ale także strusie emu.



Park. Od kilku lat właścicielami terenu są Anangu, aborygeńskie plemię żyjące w okolicy, choć sam park jest na stałe formalnie dzierżawiony przez australijski rząd. W skład zarządu parku wchodzi Aborygeni, jak i przedstawiciele dzierżawcy. Ma to istotne znaczenie dla możliwości zwiedzania. Zgodnie z wolą właścicieli, szczególnie ważne dla nich miejsca (jaskinie, wnęki, źródła...), gdzie odbywają się tradycyjne ceremonie są niedostępne dla obcych. Można je oglądać z oddalenia, ale nie wolno nawet fotografować.

Przybyszom może trudno zrozumieć takie rygory, ale ich źródłem jest głęboka wiara aborygenów w obecność duchów przodków. To przodkowie stworzyli w Czasie Snu - Dreamtime - wszystko, co istnieje na ziemi. Przemierzając ziemię pozostawili liczne ślady swojej fizycznej obecności, ale także energię spirytualną, która wskrzesza nowe życie i ma wpływ na wszystko, co się zdarza. W pewnych miejscach swoją obecność zaznaczyli szczególnie wyraźnie,

wskazując że właśnie tu ich dusze odpoczywają, stąd należy czerpać życiodajną energię i tu kiedyś powrócą budząc się ze snu o zachodzie słońca. To są właśnie święte miejsca aborygeńskich plemion. Nie można ich przenieść jak naszych kościołów, które mogą być odświeżone, a ich zniszczenie oznacza utratę życiodajnej energii plemienia. Dlatego też Aborygeni, choć z natury bardzo spokojni, o takie miejsca uparcie zabiegali, co w efekcie rozpoczęło proces przyznawania praw własności do określonych terenów. W przeciwieństwie do Europejczyków chcą zachować środowisko naturalne niezmiennione, takie jakie poznali i w jakim nauczyli się żyć przez 24 tysiące lat. Akurat w czasie naszego pobytu, jedno z plemion z Północnych Terytoriów właśnie otrzymało akt nadania i hucznie to czciło.

Do niedawna obowiązywał również zakaz wspinania się na skalę. Jednak spadek liczby odwiedzających skłonił Anangu do zmiany decyzji. Nie śpiesząc się, wejście na

Uluru - święta skala Aborygenów, słynie z tego, że zmienia kolor w zależności od pory dnia. Rankiem jest beżowa, wczesnym popołudniem brunatna, a o zachodzie słońca zapala się czerwienią.



szczyt zajmuje półtorej godziny i nie jest to trudne, pod warunkiem, że ma się odpowiednie obuwie i nie jest zbyt upalnie. Za to cały wysiłek jest wynagrodzony widokiem ze szczytu! W linii prostej widać na odległość 150 km w jedną stronę. To tak, jakby stanąć w Toruniu i widzieć z jednej strony Gdańsk, a z drugiej Warszawę, a między nimi pustą przestrzeń.

Łatwiej jest skalę obejść, choć spacer trwa prawie cztery godziny. Dopiero jednak wtedy widać jej ogrom i urok. A także tylko wtedy można odszukać opowieść o walce Dobra ze Złem, która tu się kiedyś odbyła. Na ścianach skały wyryte zostały ślady dramatu, który jest wszechobecny w malarstwie i rękodziele artystycznym plemiennych artystów.

Najbardziej jednak skala jest znana z tego, że zmienia kolor w zależności od pory dnia. Nawet na kartach pocztowych można obejrzeć jej zmienne barwy - od szarego po krwistoczerwony, a czasami wręcz fioletowy. Jednak żadna fotografia nie oddaje tej jednej, krótkiej magicznej chwili tuż przed zachodem słońca, gdy na skalę padają ostatnie promienie. Wówczas przez zaledwie kilka sekund skala nagle „zapala” się - nabiera intensywnego czerwonego koloru, który przesuwa się z jednego jej krańca na drugi, przez moment „plonie” cała, aby zaraz „zgasnąć”. O wschodzie słońca również można oglądać zmianę barwy, ale to właśnie zachody są warte pielgrzymki. (c.d.n.)

Tekst i zdjęcia ALICJA KOŁODKO



Tuż przed zachodem słońca obserwowaliśmy jak nasze sylwetki kładą się coraz dłuższym cieniem na gładkim jak szyba dnie słonego jeziora.